

STEFANIA TOCZYSKA

- *sen na jawie*

Jest kobietą piękną, o intrygującej, nieco południowej urodzie. Kiedy się śmieje i kiedy śpiewa, potrafi oczarować każdego, kto jeszcze do tej pory nie uległ jej urokowi. W głosie bowiem i oczach Stefanii Toczyskiej zgromadził się cały blask jej silnej osobowości. Dziś jest najwyżej cenionym w świecie polskim mezzosopranem i najmłodszą wśród bohaterów tej książki. Talent, temperament, praca i szczęśliwy los - połączyły się w jedną harmonijną całość, dość szybko otwierając przed nią podwoje do światowej kariery. - Teraz czasami wydaje mi się, że na jawie przeżywam mój sen i marzenia. Jeszcze nie bardzo mogę w to uwierzyć...

Już podczas studiów w gdańskiej Wyższej Szkole Muzycznej jej występy na koncertach zyskały sobie bardzo przychylnie recenzje, a wspomnieć tu należy, że nasza krytyka muzyczna



raczej nieskora jest do komplementowania niewypierzonych (czytaj: niewymagistrowanych) artystów. Będąc studentką w klasie wokalistyki profesor Barbary Iglirkowskiej - występowała w repertuarze oratoryjno - kantatowym, śpiewała na recitalach pieśni klasyków, a nawet - miała się przez pewien czas repertuaru piosenkarskiego, nagle bowiem spodobała się jej estrada rozrywkowa. Wystąpiła też na festiwalu polskiej piosenki w Opolu i... na tym się skończył piosenkarski wątek jej biografii.

Rok przed ukończeniem studiów przywiozła z międzynarodowego konkursu śpiewaczego w Tuluzie II nagrodę, a po jej gdańskim recitalu tegoż samego 1971 roku recenzent „Dziennika Bałtyckiego”, Romuald Gojżewski, napisał: „(...) Toczyska obdarzona pięknym głosem i wrodzoną, naturalną łatwością śpiewania ma w sobie sporo uroku osobistego i jest już dziś artystką, która stoi o krok od kariery. Od niej samej będzie teraz zależeć, jak wykorzysta swe walory, umiejętności, głos i muzykalność rzadkiej próby. Łatwość w pojmowaniu stylów jest dodatkowym atutem śpiewaczki, dzięki czemu równie trafnie interpretowała ona nie tylko pieśni Czajkowskiego, ale i utwory kompozytorów hiszpańskich i francuskich. Całość zaprezentowanego programu podana została słuchaczom dyskretnie, wzruszająco i w najlepszym tego słowa znaczeniu - wytwornie”.

Zacytowałem tę opinię również dlatego, że wiąże się ona z charakterystyczną dla tej kobiety postawą, z jej osobowością. Stefania Toczyska bowiem jest przede wszystkim wytworna. To określenie, często obciążone u nas balastem napuszonych zachowań i udawanej, nowobogackiej wytworności „pierwszych w rodzinie magistrów” - rzadko gości w języku potocznym. Równie rzadko, jak trafiają się na co dzień ludzie rzeczywiście wytworni. Kiedyś mówiono tak z pełnym uwielbieniem o Adamie Didurze: „To artysta i człowiek wytworny”. Dziś można tak samo powiedzieć o Stefani Toczyskiej. Choć może dziś, obserwując jej zachowanie na scenie i w życiu prywatnym, ktoś bardziej gustujący we współczesności orzekłby: „Ma dziewczyna klasę”. Bo ma... I jest to ten typ zachowania nie wymuszony przez wyuczoną elegancję, ale wypływający ze środka, z charakteru, z poczucia własnej wartości i zadowolenia z życia, z życzliwości do świata zewnętrznego. Ta naturalna dla jej postaci wytworność słyszalna jest i w jej głosie, frazie muzycznej, i w rozmowie, w zachowaniu codziennym.

W czerwcu 1972 roku ukończyła studia z wyróżnieniem. Miesiąc później Kazimierz Rozbicki napisał po jej koncercie w „Głosie Koszalińskim”: „Nadzwyczaj udany był występ Stefani Toczyskiej, której wspaniały mezzosopran dał się już nam poznać w *Requiem* Mozarta, a w akustyce kościoła zabrzmiał jeszcze piękniej i pełniej. Interpretacja zarówno trudnych dzieł baroku, jak i romantycznych pozwoliła podziwiać także muzykalność i kulturę wykonawczą Toczyskiej. Piękny głos i dobra technika wokalna, kierowana smakiem i muzyczną kulturą, to cechy, które upoważniają do wróżenia świeżo dyplomowanej artystce świetnej kariery”.

Została zaangażowana jako solistka Państwowej Opery i Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku. Na swój debiut sceniczny nie musiała długo czekać. Już w lutym 1973 roku wystąpiła w roli tytułowej *Carmen* Bizeta. Premierę tej opery przygotował szef muzyczny teatru, Zbigniew Chwedczuk, a wyreżyserowała Danuta Baduszkowa, w oprawie scenograficznej Krzysztofa Pankiewicza. O takim starcie marzy zapewne niejeden śpiewak. Tym bardziej że najbardziej znany krytyk Wybrzeża, Wanda Obniska, napisała: „Rewelacją był dla mnie debiut sceniczny Stefani Toczyskiej”. I recenzentka nie była gołosłowna w tym głośnym zachwycie, bo wypunktowała



Stefania Toczyska w *Trubadurze* © J. Multarzyński

jednocześnie, niczym sędzia ringowy, główne zalety śpiewaczki. Właśnie te, które przez następne lata zjednywały jej publiczność coraz większych sal koncertowych i oper: „Toczyska to dojrzały muzyk. Wniosła na scenę trwałe wartości: głos ma duży o rzadkiej, wyjątkowo pięknej, ciemnej barwie. Jej interpretacja jest żarliwa i precyzyjna w każdym szczególe. Bujna osobowość młodej artystki, nerw dramatyczny pozwoliły jej stworzyć postać Carmen prawdziwą, o dużej sile wyrazu (...) W osobie Toczyskiej - Opera Bałtycka zyskała cenną śpiewaczkę, po której można się spodziewać najświetniejszego rozwoju”.

Kilka miesięcy później wyjechała na Międzynarodowy Konkurs Śpiewaczy w s'Hertogenbosch (Holandia) i przywiozła do Gdańska główną nagrodę.

- Konkursy nie gwarantują zrobienia tak zwanej kariery -powie po latach, patrząc na swoje pierwsze wyjazdy konkursowe ze zrozumiałego dystansu. - Bardzo rzadko ktoś z finalistów zostaje zaangażowany na miejscu do jakiejś roli. Natomiast samo przygotowanie do konkursu jest ważnym etapem w życiu młodego człowieka: chęć sprawdzenia się i potwierdzenia swoich możliwości dopinguje do niezwykle intensywnej pracy.

W Operze Bałtyckiej szczęśliwie trafiła na szefa artystycznego, Zbigniewa Chwedczuka, który docenił w pełni jej talent, wybierając odpowiedni dla niej repertuar. Wystawił więc *Faworytę* Donizettiego, operę u nas zapomnianą, ale stwarzającą tytułowej mezzosopranistce okazję do popisu wokalnego i aktorskiego. Stefania Toczyska odniosła w tej roli olbrzymi sukces, o którym głośno było w całej Polsce. Gdy przyjeżdżałem do Gdańska jako recenzent „Teatru”, nieraz usłyszałem za kulisami z przekąsem rzucane uwagi: „Wiadomo, Stefa to faworyta”. I całe szczęście - myślałem wówczas, znając rozliczne kłopoty utalentowanej młodzieży śpiewaczej, na ogół nie zauważanej przez dyrekcje teatrów operowych. Chwedczuk wiedział, co robi, wystawiając jesienią 1975 roku nawet niezbyt udany teatralnie utwór Saint - Saensa *Samson i Dalila*, ale za to zawierający wielką, efektowną partię mezzosopranową tytułowej Dalili. Toczyska wykorzystała tę szansę, stworzyła piękną, godną wielkiej opery historycznej kreację i... przeszła do kronik naszego powojennego teatru muzycznego jako najlepsza odtwórczyni tej trudnej, choć odpowiadającej jej talentowi roli. Najpiękniejsza z Filistynek, Dalila, uwodzicielska, ale żadna zemsty, potrafiła wydobyć z Samsona tajemnicę jego siły, pokonać go, by potem szydzić i naigrawać się z jego pohańbienia. Tu potrzebny był i temperament aktorski, i urok pięknej kobiety. A nade wszystko głos mocny, warsztatowo bardzo sprawny, by wznieść się w efektowne rejony Saint - Saenowskiej melodyki, by wygrać specyficzną dla tej muzyki nastrojowość. Stefania Toczyska już u progu swojej artystycznej drogi udowodniła sobie, pokładającemu w niej nadzieje dyrektorowi, a także zawistnym kolegom (bo żaden teatr nie istniałby bez specyficznego klimatu szu-szu-plotki), że potrafi. I mimo młodego wieku jest już klasą samą dla siebie.

W dniu 1 października 1977 roku wystąpiła w roli Amneris na premierze *Aidy* w Bazylei. Recenzenci szwajcarscy bardzo wysoko ocenili aktorstwo i głos debiutującej na zachodnioeuropejskiej scenie młodej śpiewaczki z Opery w Gdańsku. „Jej głos dysponuje przede wszystkim precyzyjnym, głębokim rejestrem, który w tej partii jest probierzem dla każdej mezzosopranistki - pisała Laura Buchli po premierze bazylejskiej w „Basler Zeitung”. - Przeobrażenie Amneris z bezlitosnej i zwycięskiej rywalki w zrozpaczoną kochankę stworzyła aktorsko i wokalnie bardzo przekonująco”.

W tymże roku Stefania Toczyska wzięła udział w londyńskim nagraniu dla firmy „EMI”

opery Musorgskiego *Borys Godunow* pod dyrekcją Jerzego Semkowa. Był to nieśmiały jeszcze początek jej późniejszych zagranicznych wojaży.

Latem 1978 roku poznałem ją podczas Festiwalu Moniuszkowskiego, który z Marią Fołtyn organizowałem w Kudowie. Zaprosiliśmy wówczas do udziału w najważniejszych koncertach (rzec można: prestiżowych dla nowego kierownictwa festiwalu) całą czołówkę polskiej wokalistyki operowej. Przekonałem się wtedy w sposób bezpośredni (a czasami też niezbyt miły), że inaczej odbiera się taką imprezę i jej wykonawców z pozycji recenzenta - gościa (co czyniłem dotychczas), a inaczej organizatora - gospodarza (co przypadło mi w udziale po raz pierwszy). Stenię zapamiętałem jako jednego z najmiłszych i najmniej kłopotliwych gości naszego festiwalu. W natłoku codziennych spraw i sprawek rozmowa z nią okazała się prawdziwą przyjemnością i odpoczynkiem. Była najmłodszą artystką w naszych „koncertach gwiazd”, stojącą wówczas w punkcie zwrotnym swojej kariery życiowej; rysowały się możliwość stałej współpracy z wiedeńską Staatsoper i perspektywa dalszych kontraktów zagranicznych. Potrafiła zauroczyć nie tylko śpiewem, ale i inteligencją, szczerą bezpośredniością, skromnością, wesołym i życzliwym usposobieniem.

Po festiwalu kudowskim Stefania Toczyska nagrała dla „Wifonu” kasetę z wszystkimi pieśniami Fryderyka Chopina (na fortepianie towarzyszył śpiewaczce Janusz Olejniczak) - i wyjechała do Wiednia, biorąc bezpłatny urlop z Opery Bałtyckiej.



Stefania Toczyska w *Trubadurze*

© J. Mularzewski

Teraz zdarzenia w jej biografii artystycznej zaczęły narastać w dużym przyspieszeniu. Już 26 stycznia 1979 roku wystąpiła w roli tytułowej w *Carmen* obok Placida Domingo (w partii Don Josego). Tę datę zapamiętała bardzo dobrze, bo od tego momentu rozpoczęły się jej sceniczne, koncertowe i nagraniowe spotkania z największymi artystami światowej opery. Jej partnerami byli potem najwyżej dziś cenieni na świecie tenorzy: Nicolai Gedda, Luciano Pavarotti, Jose Carreras, no i oczywiście Placido Domingo, z którym po „debiutanckim spotkaniu” w Wiedniu śpiewała m.in. w londyńskiej operze Covent Garden (w *Opowieściach Hoffmanna*). Natomiast wśród znanych jej pirackich nagrań płytowych (a sama nie wie dokładnie, ile takich płyt powstało, z jej udziałem, ale bez jej zgody) - znajduje się także *Aida* z Pavarottim.

Z grona „pierwszych dam” światowej opery spotkała się na scenie z takimi śpiewaczkami jak legendarnej już dziś sławy sopranistka hiszpańska Montserrat Caballe. „Okazała się ona nie tylko wielką śpiewaczką - mówi dziś Toczyska - ale i wielkim człowiekiem. Kiedyś zaprosiła mnie do swojej garderoby i zapytała: «Czy pani jest świadoma, jak pięknie śpiewa?» Spuściłam oczy i nic nie odpowiedziałam”. Bo i cóż można dodać do takiego komplementu z ust tak wybitnej artystki? Była też partnerką Renaty Scotto, Leontyny Price („spotkanie z nią, prawdziwą królową operowej sceny, pozostawiło we mnie niezapomniane wrażenia”), Teresy Żylis - Gara... Po trzech latach stałej współpracy z Operą Wiedeńską Stefania Toczyska zaczęła jeździć po całym świecie, nie wiążąc się już, aż do tej pory, stałym kontraktem z żadnym teatrem operowym. - Dzięki



Z Józefem Kańskim i Janem Bernasiem

temu czuję się wolna. Sama pracuję nad rolami i wybieram je sama, słuchając tylko jednego wspaniałego doradcy: mojego męża.

Jej droga artystyczna, a ściślej mówiąc szlak występów, wydaje się podobna do tej, jaką kilka lat wcześniej przebyła inna nasza wielka śpiewaczka, Teresa Wojtaszek - Kubiak. Wiedeńska Staatsoper, londyńska Covent Garden, Teatro San Carlo w Lizbonie, opery w San Francisco, Houston, nowojorska Carnegie Hali. W tej najszlachetniejszej na świecie sali koncertowej Stefania Toczyska śpiewała partię Marfy w koncertowym wykonaniu *Chowańszczyzny* Musorgskiego w marcu 1981 roku. W tym samym roku wystąpiła przed najbardziej bezlitosną publicznością operową w Parmie na Sycylii, która lubi chóralnie poprawiać każdy błąd intonacyjny śpiewaków. Ale miała już za sobą twardą szkołę widowni wiedeńskiej. To właśnie w Staatsoper zdarzył się w 1973 roku głośny skandal, o którym wówczas opowiadała Teresa Wojtaszek - Kubiak.

- Ostatnio byłem świadkiem nieprawdopodobnego incydentu w Operze Wiedeńskiej podczas spektaklu *Aidy* z udziałem Gwyneth Jones i Placida Domingo. W połowie przedstawienia doszło na widowni niemal do demonstracji. Część publiczności zaczęła głośno wyrażać swoją dezaprobatę dla sztuki pani Jones, która ich zdaniem niestylowo śpiewała swoją partię. Wówczas na widownię wkroczyła policja i siłą wyprowadziła kilku „niezadowolonych”, na co ogromnie oburzył się pewien wielce zasłużony śpiewak wiedeński i ostentacyjnie przyłączył się do obozu demonstrantów. Powstała na widowni taka wrzawa, że trzeba było przerwać spektakl. Nazajutrz ukazały się w gazetach straszne recenzje, zaś ja tego dnia miałam śpiewać Toskę. A przecież Gwyneth Jones jest naprawdę znakomitą śpiewaczką. Wystarczyło, że nie podobała się jako Aida, aby doprowadzić do takiego incydentu.

Stefania Toczyska, na szczęście, nie przeżyła takiego skandalu, choć też właśnie w Wiedniu zaczęła śpiewać obok Placida Domingo, przed tą samą publicznością. Teresie Wojtaszek - Kubiak zaproponowano występy w Metropolitan Opera w Nowym Jorku, gdzie zaczęła odnosić sukcesy - a po debiucie amerykańskim również i Toczyskiej zaproponowano wejście na największą scenę operową świata. Był już podpisany kontrakt - ale występy nie doszły do skutku, bo w tym czasie przyszła na świat druga córka Stefanii Toczyskiej - Maria.

Jesienią 1984 roku, po kilku latach niewidzenia się, spotkaliśmy się w Warszawie podczas jej gościnnych występów w Teatrze Wielkim.

- Jestem szczęśliwa, że moja piętnastoletnia Kasia ma wreszcie siostrzyczkę. Nie będzie teraz już sama, jedynaczka. A że przez to uciekły terminy występów w Metropolitan? To nic w porównaniu z urodzeniem dziecka. Muszę ci powiedzieć, że teraz dopiero czuję się kobietą prawdziwie szczęśliwą.

Zwykle tak bywa, że spotkanie z człowiekiem po dłuższym czasie podświadomie nawet wyzwala chęć bliższego przyjrzenia się. Patrzyłem więc na jej roześmianą twarz, słuchałem tego, co mówiła. Była jak dawniej bezpośrednia, spontaniczna, prawie dziewczęca. Ale gdzieś w tle pobrzmiwały skądinąd znane mi nutki lekkiego fałszu. Nieodzowny towarzysz wystroju światowych dam. Być może, że tylko tak mogło się - wydawać prowincjuszowi z podwarszawskiej miejscowości, zwłaszcza że kiedyś był krytykiem, a ci - jak wiadomo wśród artystów - mają na ogół słabo wyczułone ucho. Ale mimo to nadal wydaje mi się, że jest to jedna z najciekawszych postaci w naszym powojennym śpiewactwie, a przy tym artystka o niezwykle bogatej osobowości.

- Moje marzenia stały się rzeczywistością... z wyjątkiem tego, że nie zagrałam jeszcze w

filmie.

W maju 1985 roku Stefania Toczyska wystąpiła znów w kraju, śpiewając w *Requiem* Verdiego w pałacu w Łańcucie. Znajomych i nieznajomych znów zaskoczyła. Tym razem swoim wyglądem. Recenzent lubelskiego „Sztandaru Ludu” napisał: „Przyjechała do Łańcuta jakby odmieniona; krótko przystryżone włosy, dżinsowa bluza wysadzana “brylantami”. Rzekłbyś, że to gwiazda punk - rockowa, a nie operowa”.

Trudno się dziwić. Stenia wie o tym dobrze, że kobieta zmienna jest. Zwłaszcza kobieta z klasą.

1985



© Wacław Panek
waclawpanek@waclawpanek.pl